



JEDNEGO
PEDOFILA
MNIJ

LESZEK BIGOS
KASTRATOR



PLATINUM
STORY

LESZEK BIGOS

KASTRATOR



PLATINUM
STORY

Kastrator

Copyright © Leszek Bigos

Copyright © Platinum Story

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Maciej Sznurkowski

Skład: Leszek Bigos

Okładka: Magdalena Cyrczak-Skibniewska

Zdjęcie na okładce: Leszek Bigos

Utwór stanowi fikcję literacką i nie ma na celu obrażać światopoglądów ani uczuć religijnych. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakiegokolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I. Kraków 2021

ISBN: 978-83-67143-00-4

www.leszekbigos.com

fb.com/LeszekBigosWriter

instagram.com/LeszekBigosWrites

Platinum Story

www.platinumstory.com

fb.com/platinumstorycom

instagram.com/platinumstorycom

ROZDZIAŁ 1

Mój Boże, zrobiłem to. Zrobiłem! Aż mnie trzęsie w środku z nerwów i podniecenia.

Szarówka nad Jeziorem Kiełpińskim. Ptaki już umilkły, owady jeszcze cykają. W powietrzu wilgoć i zapach lasu, wciągam go, by przestać w końcu podświadomie czuć krew.

W pośpiechu wychodzę z zagajnika na ścieżkę: dwa wyjeżdżone brązowe pasy wśród zarośli i trawiastych pól. Dopiero na horyzoncie widać matowe rzędy pobudowanych od liniiki domów: kontury podwarszawskiego Kiełpina. Zmuszam się, by zwolnić kroku, próbuję uspokoić walące serce. W oddali jakiś biegacz, roztrzęsione światło czołówki znaczy mu drogę. Na szczęście biegnie w przeciwną stronę. A tak to nikogo wokół nie ma. Śmieję się z własnej głupoty i nadpobudliwości.

Podchodzę do granatowego forda mondeo MK3. Zaparkowałem go w krzakach. Kluczyki. Kurwa, gdzie kluczyki! Ta kieszeń? Nie, tamta. Są. Trzęsą mi się ręce. Spokojnie, Wiktor, najgorsze za tobą. Syknięcie centralnego zamka. Plecak z narzędziami wkładam do bagażnika. Szybkie oględziny ubrania: obeszło się bez krwawych plam. Nieźle jak na pierwszy raz. Padam wyczerpany za kierownicę. Zapłon.

Jadę bez świateł. Nie chcę, by auto nad jeziorem ściągało z daleka uwagę o tej porze. Nie zapalam ich nawet, gdy dojeżdżam do pierwszej żwirówki z pobudowanymi z rzadka

domami po obu stronach. Jak na zawołanie wszyscy pochowali się już: migają telewizory w salonach, światła palą się w jadalniach. Tym lepiej, ciemność na zewnątrz pozostanie dla nich ciemnością. Przemykam jak najszybciej. Dopiero przy skrzyżowaniu, gdzie żwir zamienia się w asfalt, włączam lampy.

Ja pierdolę. Czy to normalne, w wieku czterdziestu trzech lat zaczynać palić? Bo mam kurewską ochotę pierwszy raz w życiu kupić fajki. O tej porze to już tylko jakiś całodobowy czy stacja benzynowa. Nie. Żadnych postojów, a już na pewno nie tam, gdzie są kamery.

Zimno mi, choć wiosna w pełni, a mam na sobie softshellową kurtkę, spodnie dresowe i buty do biegania, wszystko czarne. To chyba ten stres, czuję, jakby cała krew spłynęła mi do serca i mózgu. Zaszło mi też w gardle. Włączam klimatyzację.

Z ulgą wjeżdżam na krajową siódemkę w stronę Warszawy. Ruch umiarkowany, mógłbym „przydusić”, ale nie chcę. Ostatnie, czego mi trzeba, to drogówka lub fotoradar.

Kabina nabiera temperatury. Włączam radio i aż uśmiecham się do siebie, bo leci mój ulubiony kawałek: *In the air tonight*. Pasuje jak ulał do okazji, skąd wiedzieli? Zaczynam śpiewać razem z Philem Collinsem.

Rozluźniam się już całkowicie. Na światłach przeglądam się w lusterku wstecznym. Pofalowane czarne włosy przykłyły, białka głęboko osadzonych brązowych oczu zaróżowiły się ze zmęczenia, a na co dzień kanciasta twarz z mocno zarysowaną szczęką jakby napuchła. Gdyby nie to, że rano się ogoliłem, wyglądałbym jak menel. To był ciężki dzień. Jutro trzeba pójść do sauny, czy coś.

Korci mnie, by pokręcić się autem po Śródmieściu, po-
napawać światłami wieżowców, ale rozsądek podpowiada,
bym nie kusił losu. Prostą jak struna drogą jadę na południe
wzdłuż Wisły i wyskakuję przy samej Sadybie. Wjeżdżam
w Korczyńską, na osiedle bliźniaczych czteropiętrowców z lat
osiemdziesiątych. Za dnia wszystkie w kolorze zjełczałego
masła, o tej porze litościwie przykryte mrokiem podziurawio-
nym prostokątami światel w mieszkaniach. Jak dobrze, że przy-
najmniej dużo tu zieleni, inaczej nie dałoby się na to patrzeć.

Klasycznie – nie ma gdzie zaparkować, ale dzisiaj zwisa
mi to. Znajduję w końcu miejsce trzysta metrów od bloku.
Nawet lepiej, nocny blisko. Biorę sześciopak piwa. A chuj.
Piwo, chesterfieldy i zapalniczka jednorazowa. Niosę sześciop-
pak za folię, nie chcę otwierać plecaka. Między drzewami, na
ławkach i na placu zabaw siedzą ekipy małych: piją alko-
hol, a marihuanę czują aż tutaj. Słyszę też dziewczęce głosy.
Sylwetki: na oko piętnaście, szesnaście lat, ale zważywszy na
to, ile hormonów jest teraz w mięsie, mogą równie dobrze
mieć po dwanaście. Jak moja córka. Cóż zrobić... Sobota
wieczór, rodzice cieszą się, że wreszcie mają trochę czasu dla
siebie, a dzieci... jak to nazywają? „Biforek”? Kręcę głową. Ja
mam już „afterek” i dziś, wyjątkowo, jest co oblewać.

Wchodzę na trzecie piętro do pustego M3, typowego dla
rozwodnika z przeszło czterema krzyżykami na karku. Żaden
syf, ale i nie za czysto. Meble i kuchnia proste, z zestawu,
w dupie mam, czy gustowne. Gablota z pamiątkami z podróży,
zdjęcia z córką w ramach. Kino domowe najwyższej klasy.
Na suficie w sypialni listwy LED-owe z pełnym spektrum
kolorów i nasycenia światła, w razie gdybym przyprowadził
jakąś panienkę do wyobrać na wielkim komfortowym

łożu, które zakupiłem specjalnie do tego celu. Póki co, wspomnienie byłej żony skutecznie zniechęca mnie do poszukiwań. Może kiedyś.

Zamykam drzwi, opieram się o nie plecami i wypuszczam powietrze tak długo, jakbym cały dzień wstrzymywał oddech. Zdejmuję buty, kurtkę wieszam w szafie w przedpokoju i idę do kuchni. Piwa wstawiam do lodówki, jedno do zamrażarki. Lubię mocno schłodzone. Wyjmuję z szafki flaszkę spirytusu, nalewam do kufła z grubego szkła, mniej więcej do połowy. Otwieram plecak.

Najpierw statyw i lornetka. Przecieram je mokrym ręcznikiem papierowym i odkładam.

Na wywiniętych na lewą stronę gumowych rękawiczkach widać smugi krwi. Starłem się wytrzeć je w trawę, ale wszystkiego się nie dało. Odwijam je, płuczę w zlewie, potem zawijam w gazetę i wyrzucam do kosza.

Wyjmuję z plecaka metalową kasetkę wielkości pudełka po butach. Zielone wieko, szare dno. Otwieram. Szlag. Wszystkie narzędzia chirurgiczne się ubabrały.

Rozciągam folię spożywczą na kredensie i układam na nią cały sprzęt. Z łazienki przynoszę watę, maczam ją w spirytusie i dokładnie czyszczę kasetkę na zewnątrz i w środku.

Teraz emaskulator. Nieco ponad dwadzieścia centymetrów długości, wyprofilowany pod tuczniaki. W sam raz: akurat szukałem czegoś dla świń. Wycieram narzędzie wacikiem, na koniec zanurzam w kuflu ze spirytusem: najpierw uchwyt, potem szczęki.

Dwie klemy naczyniowe. Ten sam proces. Potem skalpel. Oddzielam ostrze od uchwytu i czyszczę osobno. Zapasowe ostrze też. Teraz sprzęty, które wystarczy przetrzeć z wierzchu.

Zszywacz do zakładania klamer skórnych. Odrębna kasetka, w której trzymam fiolki z anestetykami. Kolejna kasetka na igły i strzykawki. Puszka tlenu inhalacyjnego z ustnikiem, spray do dezynfekcji, dwie paczki gazy.

Zamykam kasetkę z już czystymi narzędziami w środku. Wylewam zabarwiony na różowo spirytus. Wyjmuję z plecaka napoczęty worek na odpady medyczne, dokładam do wcześniejszych śmieci brudną watę i folię spożywczą. Upewniam się, że w koszu nie ma niczego, co mogłoby pomóc mnie zidentyfikować, i wrzucam zawiązany worek do środka. Myję kredens, płuczę zlew. Schodzę do śmietnika i zagrzebuję worek na dnie kontenera na odpady mieszane. Rano śmieciarka zmieli pozostałości moich zmartwień. Po powrocie ostatni akord: wkładam ciuchy, kominiarkę i plecak do pralki, po czym biorę prysznic.

Splukawszy z siebie niepokój, wyciągam piwo z zamrażarki, w jego miejsce wkładam następne. Siadam w fotelu w salonie, otwieram puszkę. Jest tak lodowata, że w pierwszej chwili kleją się do niej palce, lecz szybko pokrywa się subtelną rosą. Uwielbiam to. Zapach piwa drażni mi nos, biorę potężny łyk. Bliska zera temperatura obkurcza mi gardło, gaz drażni przełyk, aż parskam z satysfakcją. Wpadam na pomysł. Wstaję, zdejmuję z półki płytę *Face Value* Phila Collinsa. Gdy rozbrzmiewają pierwsze nuty *In the air tonight*, pogrążam się w myślach, przypominając sobie wszystko, co się wydarzyło. Mam na to mnóstwo czasu, sześć piw i paczkę fajek. W przerwach wychodzę na balkon, odpalam chesterfielda. Niedobry, ale w tej chwili smakuje triumfem.

Dobra robota. Uśmiecham się do siebie.

Jednego pedofila mniej.

ROZDZIAŁ 2

Nikt nie będzie żałował księdza Marka O.

Łysy na czubku głowy pięćdziesięcioletni grubasek. Jowialna twarz z wypiekami, dziecięce oczy. Typ, który mógłby uśmiechać się do ciebie z etykiety miodu pitnego, gdyby tylko dodać mu franciszkański habit. Typ z gitarą, którego można wyobrazić sobie śpiewającego z chórem dziecięcym: „Gdy wszyscy święci idą do nieba, to Święty Piotr na saksofonie gra”. Organizator kolonii, pielgrzymek i akcji dożywiania dla biednych dzieci, aktywnie udzielający się w domach poprawczych.

A mimo to nikt nie będzie żałował księdza Marka O.

Pierwsza sprawa wypłynęła już w 1998 roku w Wałbrzychu, gdzie Marek O. był młodym katechetą w podstawówce. Upodobał sobie dziewczęta wychowywane przez samotne matki. Zorganizował kilka pionierskich akcji à la współczesna Szlachetna Paczka. Datki trafiały do rodzin anonimowo, by nie narażać dzieci na ostracyzm rówieśników, a ksiądz Marek doręczał je osobiście, z zaskoczenia. Nie przystawiał się do matek. Był co prawda radosny i ciepły, ale zachowywał dystans. Jego altruizm i bezinteresowność ujmowały kobiety, podobnie jak zaangażowanie. Ksiądz ofiarowywał się, że zbierze datki na podręczniki, załatwi ubrania z Czerwonego Krzyża, udzieli na plebanii darmowych korepetycji

z angielskiego... Tak po prostu. Z dobroci serca. I obietnic dotrzymywał.

Kiedy jednak po kilku zajęciach u księdza Marka dzieci zaczęły reagować lękiem na fizyczną bliskość, pojawiły się pierwsze wątpliwości. To były jednak inne czasy, nie mówiło się tyle o molestowaniu seksualnym, dzieci wychowywano zupełnie inaczej. Większości rodziców te rzeczy nawet nie przychodziły do głowy. Ksiądz Marek był jedyną osobą, która wymiennie pomagała, czemu matki miałyby zarzucać mu złe intencje? Ot, dziecko pewnie boryka się z czymś w szkole, przy najbliższej okazji porozmawiają o tym z wychowawcą i tyle.

Poważne pytania padły, gdy dzieci zaczęły się a to moczyć w nocy, a to jękać. Kościół, o dziwo, zareagował szybko. Po pierwszej publikacji w lokalnym dzienniku O. zniknął z Wałbrzycha. Został wikariuszem w Lublinie. Kilka lat później schemat się powtórzył. Hierarchowie w mieście z katolickim uniwersytetem nie mogli sobie na to pozwolić i ksiądz Marek został potraktowany klasycznie. Dostał zsyłkę i kop w górę jednocześnie: własne probostwo pod Krosnem na Podkarpaciu. Pewnie władze kościelne wyszły z założenia, że jako wikary miał za dużo wolnego czasu i zakopanie go w papierach upadłej parafii dostarczy mu aż nadto rozrywki.

Nie docenili zdolności organizacyjnych proboszcza. Przez kilkanaście lat posługi nie tylko odnowił zabytkowy kościółek, ale zamienił go w atrakcję turystyczną. Załatwiał pieniądze z powietrza, dla niego nie istniało „nie da się”. Tymczasem jedna z jego podopiecznych, trzynastoletnia Natalia, zaszła w ciążę. Jej rodzice ośmielili się powiedzieć głośno o tym, co było tajemnicą poliszynela, ale parafianie stanęli murem

za księdzem. Wkrótce potem, zadręczona psychicznie przez rówieśników Natalia skoczyła z dachu szkoły i zginęła na miejscu.

Gdy media zaczęły węszyć, szybko ustaliły, że parafialne pieniądze szły na utrzymanie jeszcze trójki dzieci, a metryka była bezlitosna: urodziły się przed osiągnięciem przez młode matki legalnego wieku. Ze strachu przed konsekwencjami zeznawały zgodnie: „ojciec nieznany”.

Śmierć Natalii przelała czarę goryczy. Wyszło na jaw, co działo się po próbach chóru i na obozach organizowanych przez księdza. Zgłaszały się kobiety, które dawno już wyjechały z parafii i dopiero teraz nabrały odwagi, by mówić. Ostatecznie Marek O. dostał dwa lata w zawieszeniu na cztery, a kuria wysłała go na wcześniejszą emeryturę. To znaczy nie *per se*, był na to za młody. Kazano mu zarządzać domami księży emerytów w Łomiankach pod Warszawą, by mieć go na oku i odizolować od pracy z młodzieżą. Oficjalnie przechodzi też dobrowolną terapię psychologiczną.

Świadomość, że wiem, gdzie on jest, że cały czas stanowi zagrożenie, że moja córka mogłaby przez kogoś takiego podzielić los Natalii... Do tego w nocy zaczęły budzić się wspomnienia. Musiałem coś zrobić. Nie mogłem spać, dopóki nie podjąłem decyzji. Tak Marek O. został moim pierwszym pokutnikiem.

Trzy miesiące zajęło mi namierzanie tego skurwysyna i same przygotowania. Wszystko przez to, że w tygodniu cały czas pracuję, co drugi weekend spędzam z córką, do tego musiałem przecież poznać technika mojego planu.

Z początku po prostu jeżdżę na ryby nad Jezioro Kiełpińskie. Parkuję daleko, po drugiej stronie jeziora. Potem idę pieszo w obszernym wędkarskim rynsztunku, maskującym

moją faktyczną sylwetkę, oraz w bejsbolówce z nisko opuszczonym daszkiem i w przyciemnianych okularach. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Rozstawiam się w krzakach z wędką i lornetką na statywie i obserwuję posiadłość.

Kiedy w końcu Marek O. się pokazuje, poznaję go bez wątpliwości. Dowiaduję się od razu, czym jeździ, spisuję numery. Kiedy już pojawia się w ciągu dnia, to zwykle wpada i wypada. Ma przy tym bardzo przydatny nawyk: zostawia samochód przed bramą. Kolejnym razem zabieram ze sobą rower i gdy ksiądz znika w jednym z bliźniaczych budynków, podjeżdżam szybko i przyczepiam mu pod tylnym zderzakiem lokalizator GPS.

Dalej idzie z górki: także w tygodniu mogę śledzić jego marszrutę. Szybko wychodzi przyczyna moich dotychczasowych niepowodzeń: Marek O. melduje się na wieczór z reguły koło dziewiętnastej, kiedy ja, zniechęcony całym dniem sterowania jak kołek, jestem już zwykle w drodze do domu.

Przy najbliższej okazji usuwam ze zderzaka GPS. Nie jest mi już potrzebny, no i nie chcę, by przypadkiem ktoś go znalazł i po nim trafił do mnie. Po prostu przyjeżdżam w godzinach wieczornych, teraz czasem również w dni powszednie.

Wiek Marka O. działa na moją korzyść. Im człowiek starszy, tym bardziej ceni sobie przewidywalność i rutynę. Okazuje się, że po powrocie do domu mój przysły pokutnik spędza w budynku około godziny, prawdopodobnie jedząc kolację. Potem łapie za kijki do nordic walking i wybiera się na spacer wokół jeziora. Gdy się o tym dowiaduję, zaczynam parkować mondeo w innym miejscu, by ksiądz Marek go nie widział.

Parę razy słyszę, jak maszeruje ścieżką kilka metrów za moimi plecami. Zawczasu chowam statyw z lornetką. Mobilizuję

w sobie całą silną wolę, by się nie odwrócić, by nie zobaczyć mojej twarzy.

– Biorą? – pyta pewnego dnia. Serce staje mi w przełyku. Jeżeli teraz podejdzie i spojrzy mi w oczy, to koniec. Albo poprawiam go na miejscu, albo wszystko na marne.

– A, idź pan w chuj – rzucam w powietrze tak chamsko, jak tylko potrafię. Chwila ciszy. Wstrzymuję oddech, liczę uderzenia serca. Du-dum. Powietrze nieruchome. Du-dum. Sławik stoi zamurowany tak jak ja. Du-dum. Zamykam oczy. W końcu słyszę upragnione kroki. Marek O. idzie dalej.

Nie mogę dłużej czekać, wiem już wszystko. Tydzień później jestem gotowy do akcji.

ROZDZIAŁ 3

Sobota, późne popołudnie. Ładna pogoda, ciepło, wiosennie, żadnego wiatru. Rozstawiam się na innym stanowisku obserwacyjnym: osłonięty, ale teraz na południowym brzegu jeziora, bliżej domów księży emerytów, gdzie ścieżka zaczyna stykać się z granicą nadbrzeżnego zagajnika. Nie chcę, by miejsce wzbudzało jakiekolwiek skojarzenia z wcześniejszym. Ubrałem się też inaczej, w strój sportowy, cały na czarno.

Ekwipunek czeka, rozłożony kilka metrów za mną w niewielkim wykrocie. W lewej kieszeni softshellowej kurtki trzymam kominiarkę, w prawej gumowe rękawiczki i strzykawkę z igłą do iniekcji podskórnych. Ksiądz ma na oko metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale trzeba dać mu nawet do stu kilo. Przyszykowałem więc na dzień dobry sześćset miligramów tiopentalu. Druga dawka czeka na wszelki wypadek w kasetce.

W ciągu półtorej godziny ścieżką przechodzi piętnaście osób. Tłoczno. Gdy tu przyszedłem, nieco dalej, po drugiej stronie jeziora, siedziało już dwóch dziadków-wędkarzy, ale właśnie się zwijają. Im bliżej zachodu słońca, tym bardziej jezioro pustoszeje. Odzyskuję nadzieję, a jednocześnie coraz bardziej zżerają mnie nerwy. Co chwilę chce mi się szczać, ale kiedy przychodzi co do czego, nie mogę nic wycisnąć. Poza tym staram się nie odrywać oczu od lornetki, by nie przegapić

momentu. Dla zabicia czasu powtarzam sobie w myślach całą procedurę jak mantrę.

Jest. Ksiądz Marek O. wychodzi przez bramę posiadłości i w niebieskim dresie dziarsko maszeruje z kijkami w stronę jeziora. Mam jakieś pięć minut. Schodzę do wykrotu nieopodal, gdzie składam statyw, odpinam lornetkę, jedno i drugie chowam już do plecaka. Zakładam gumowe rękawiczki i kominarkę, idę na właściwe miejsce, za gęste zarośla przy samej ścieżce. Ja go zobaczę, on mnie nie. Lustruję okolicę, nie widzę nikogo innego. Czekam ze strzykawką w dłoni.

Ogarnia mnie dziwne uczucie: z jednej strony nogi mam jak z gumy, a z drugiej twarde jak kamienie. Przepęnia mnie taka moc, że mógłbym przeskoczyć jezioro jednym susem. Nigdy w życiu nie czułem takiej adrenaliny i zajebistcie, wręcz przezajebistcie mi się to podoba.

Widzę go. Kurwa, widzę go już między liśćmi. Oddech mi się spłyca. Gdy ksiądz mija mnie po drugiej stronie krzaków, słowo daję, że czuję jego kwaśną woń. Spokojnie zdejmuję gumową osłonę z igły.

Idzie dalej, widzę już jego plecy. Gdy wychodzę z zarośli na ścieżkę, dzieli nas kilka metrów. Puszczam się pędem, nie ma co się pierdolić. Ksiądz Marek wyczuwa mnie! Odwraca głowę akurat, gdy...

Co dalej?

ZAMÓW NA WWW.PLATINUMSTORY.COM/KASTRATOR



PLATINUM
STORY

Pedofil brutalnie gwałci i morduje dziecko. Słyszysz o tym w wiadomościach i zalewa cię krew! Aż wstydzisz się swoich gwałtownych myśli...

Dorwać go i ukarać – raz na zawsze.

Uciąć mu. Wykastrować gnoja.

A co by było, gdyby ktoś się nie bał i...?

„Kastrator” to brutalny thriller psychologiczny.

Wciel się w człowieka, który postanowił wziąć sprawiedliwość we własne ręce.

Krzywdzę ludzi. Kaleczę ich do końca życia, zadaję im cierpienie i traumę. Mogę sobie wmawiać, że nie zasługuję na współczucie, że to w słusznej sprawie i dla ich własnego dobra, ale fakty pozostają faktami.

Najnormalniej w świecie podoba mi się to. Zwabianie obcych ludzi w pułapkę i kastrowanie ich sprawia mi przyjemność.

Upijam się władzą nad nimi, upijam się ryzykiem. Jestem jeszcze normalny? Chodzi mi o sprawiedliwość czy już tylko o dreszcz emocji?

Tak naprawdę mam to w dupie. Liczy się efekt.

JEDNEGO PEDOFILA MNIJ

Zapraszamy na
www.platinumstory.com

Cena 34,90 zł



PLATINUM
STORY

ISBN 978-83-67143-00-4



9 788367 143004